

Tomasz Strzyżewski poszukiwany [FELIETON]

Moderatorzy treści zamiast niekończącej się czarnej taśmy z chipsami, colą, jabłkami na wagę i połówką kurczaka w promocji, muszą stanąć naprzeciw niekończącej się projekcji najbardziej koszmarnych nagrań i zdjęć, jakie można sobie wyobrazić. Chciałbym poznać sekret tych ogrodników myśli staranniej widać ukrywany niż ich niskie pensje. Czym kierują się, blokując wpisy i konta, wykluczając z obiegu informacji prezydentów i skandalistów, Kasandry i Katonów? – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Każdy, kto interesuje się choć trochę dziejami PRL, pamięta tę historię: introwertyk oderwany od tzw. realiów życia (choć na tyle z nimi pogodzony, by wstąpić do partii), z wąsami i plerezą godnymi Charlesa Bronsona szukając pracy (młoda rodzina potrzebuje mieszkania) trafia do Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. To, czego dowie się w krakowskim oddziale GUKPPiW wstrząśnie nim tak, że przez kolejne półtora roku ręcznie przepisuje „Księgę Zapisów i Zaleceń”, równocześnie zabiegając o paszport na wyjazd turystyczny do Szwecji. Na prom do Ystad wsiada 10 marca 1977 roku, w nonszalancko rozpiętym, mimo wiatru od morza, płaszczu (bruliony z notatkami tkwią przyklejone Poloplastem do pleców).

W kilka miesięcy później emigracyjne, pomarcowe wydawnictwo Aneks wydaje „Czarną Księgę Cenzury PRL”: wstrząsające świadectwo zamordyzmu, sztych propagandowy, wobec którego władze są

właściwie bezradne, niezliczoną ilość razy przedrukowywaną w oficynach podziemnych. Odwaga, ale i pewna osobność głównego bohatera czynią go godnym prozy zarówno Le Carre'a (splątane życie osobiste, odjeżdżający o 2:30 nad ranem pociąg ze stacji Kraków Główny, i jeszcze ten oficer Straży Granicznej, patrzący w zamyśleniu za 32-latkami w płaszczu, którego nie zrewidował, mimo że tamten był notowany) jak Andermana (splątane życie osobiste, okrzyk „piwo jasne, piwo” w korytarzu pospiesznego ze stacji Kraków Główny i te awantury między emigrantami, tymi od KPN i tymi od KOR).

Kilka dni wystarczyło, żeby okazało się, że prywatna korporacja może zablokować kanały komunikacyjne prezydenta najpotężniejszego do niedawna państwa świata

Myślę o Tomaszu Strzyżewskim w pierwszej dekadzie stycznia 2021, kiedy widać już, że w tym roku również nie będziemy się nudzić. Kilka dni wystarczyło, żeby

okazało się, że prywatna korporacja może zablokować kanały komunikacyjne prezydenta najpotężniejszego do niedawna państwa świata. Zbyt późno zorientowano się, że czas czmychać na inne platformy społecznościowe: wystarczyło 24 godzin, by portal Parler nie tylko wyrzucić z oferty Apple'a i Amazona (co oznaczałoby w najlepszym razie jej zapaść finansową i egzystencję gdzieś na obrzeżach internetu), lecz praktycznie zlikwidować, zmuszając do wypowiedzenia współpracy nie tylko dostawców usług internetowych, lecz również obsługujące Parlera kancelarie prawnicze i księgowych. Desperaci przerzucają się kolejnymi adresami „wolnych od cenzury platform” – jak nie MeWe, to Gab, jak nie Gab, to Rumble. Ale czy naprawdę mają one szansę wyjść z niszy, w której wegetują tysiące

portali tematycznych, poświęconych kolekcjonowaniu porostów lub szydełkowaniu? I jak niewiele trudu będzie trzeba, by uciąć im głowę, jeśli kiedykolwiek uniosą ją ponad tę niszę?

Wszystko już właściwie zostało powiedziane, tyle, że chyba zbyt późno: znaleźliśmy się w sytuacji, w której firmy o globalnym zasięgu, nad którymi nie istnieje nawet namiastka kontroli politycznej, są w stanie nie tylko (jak dotąd) gromadzić kolosalne ilości danych osobowych i przejmować na własność treści tworzone przez użytkowników, lecz również decydować już nie o zasięgu, lecz o istnieniu pojedynczych postów lub kont. W obliczu takiej sytuacji sympatyczna, liberalna formuła „wolę media, które cenzurują prezydenta niż prezydenta, który cenzuruje media” wydaje się nie do obrony.

Większość z nas tkwi nadal pamięcią, jeśli nie doświadczeniem, w wieku XX i powyższe zdanie ewokuje obraz pojedynczego tytułu czy rozgłośni, który nie daje się podporządkować politykowi. Cudownie! W rzeczywistości jednak, jeśli stawiać kropkę nad i, nie chodzi już o dziennik, owszem, pozostający poza kontrolą polityczną, lecz mający swoich znanych właścicieli, publicystów, profil ideowy; dziennik, który można w związku z tym czytać lub nie czytać, bo do wyboru jest wiele innych; dziennik z założenia „nieglobalny”, bo lokalny czy krajowy. Nie: przemilczają, cenzurują i likwidują profile globalne, dysponujące budżetami większymi niż PKB większości krajów, w przypadku których znamy nazwisko prezesa, czasem jego zastępcy, CEO czy rzecznika (albo np. szefa Google Polska, p. Artura Waliszewskiego); nie więcej. A przecież, czyniąc to, kształtują gigantyczne procesy polityczne, przesądzają o ich ostatecznym wyniku.

*„Klasa polityczna” jako całość
jest klientem, nie prawodawcą
wielkich mediów
społecznościowych i nie
wiadomo, jak mogłoby się to
zmienić*

Można wyobrazić
sobie zapewne
sytuację, w której
wobec
quadrumviratu GAFA
podjęte by zostały
stosowne działania
demonopolizacyjne,
wdrożone ustawy

antykartelowe, narzucony bodaj tryb odwoławczy wobec arbitralnych decyzji cenzorskich; można, ale przecież nie w obecnym kształcie ładu międzynarodowego, nie przy obecnej sytuacji w Stanach czy w Unii. „Klasa polityczna” jako całość jest klientem, nie prawodawcą wielkich mediów społecznościowych i nie wiadomo, jak mogłoby się to zmienić.

Czego w tej niewesołej sytuacji byłbym, ot, ciekaw, to relacji jednego z tych anonimowych dziś władców naszych wpisów i głosów, jednego z tysięcy anonimowych moderatorów: surfera wznoszącego się wysoko na falach społecznego gniewu, szybownika ulatującego na skrzydłach politycznych burz. Nieliczne reportaże, jakie się o nich ukazały, malują rzeczywistość dość fatalną: warunki pracy i płacy niczym u supermarketowych kasjerek przed 10 laty, włącznie z zakazem wychodzenia do toalety. W miejsce jednak niekończącej się czarnej taśmy z chipsami, colą, jabłkami na wagę i połówką kurczaka w promocji, muszą oni podobno stanąć naprzeciw niekończącej się projekcji najbardziej koszmarnych nagrań i zdjęć, jakie można sobie wyobrazić: od twardej, choć amatorskiej pornografii do niezliczonych aktów sadyzmu, zadawania cierpienia zwierzętom i ludziom.

Trudno sobie wyobrazić ludzi, którzy nagrywają i publikują takie materiały, być może ich istnienie jest wystarczającym usprawiedliwieniem dla nadchodzącego, jak chcą niektórzy, Dnia Sądu. I zrozumiałe że, jedząc hamburgera z lodówki i śledząc lawinę danych, moderatorzy większą uwagę zwracają na kolejnego gościa, który pakuje szczeniakowi do pyska wiązkę petard niż na jakieś bezkrwawe wpisy posłów czy redaktorów, którzy spierają się, werbalnie, więc bezkrwawo, o jakieś aborcje, Unie czy pomniki. Kogo to obchodzi.

Chyba musi istnieć jakiś podręczny zestaw wskazówek, zapisów i obowiązujących interpretacji: o tym ani słowa, o tej tylko ironicznie, tym puszczać zdjęcia z plaży i ani mru mru o Nord Stream 2

A jednak chciałbym poznać sekret tych ogrodników myśli staranniejsz widac ukrywany niz ich niskie pensje, o ktorzycz przeczytalem juz w poltuzinie bodaj relacji. Czym kieruja

się, blokując wpisy i konta, wykluczając z obiegu informacji prezydentów i skandalistów, Kasandry i Katonów? Czy w każdym przypadku wystarcza instynkt polityczny dwudziestotrzylatka z licencjatem (taka jest ponoć średnia wieku i edukacji moderatora): *prochoice* dobre, *prolife* złe, naród to faszyzm, *black matters matter*? Chyba jednak nie, chyba musi istnieć jakiś podręczny zestaw wskazówek, zapisów i obowiązujących interpretacji: o tym ani słowa, o tej tylko ironicznie, tym puszczać zdjęcia z plaży i ani mru mru o Nord Stream 2.

Jak często się on zmienia? W jakiej kształcie funkcjonuje, bo przecież nie brulionu w półtwardych okładkach, jak to było przy Rynku Kleparskim, siedzibie krakowskiej GUKPPiW? Kto decyduje o kształcie tych zapisów, skąd przychodzą dyrektywy? Iloma hasłami zabezpieczone są na firmowych dyskach?

Może uda się kiedyś zgrać bodaj garść tych zaleceń na czytnik USB, łatwiejszy do przytwierdzenia przylepcem niż „Notatnik akademicki”. Może któryś z moderatorów wielkiego medium społecznościowego, zrażony dziesięciogodzinnym dniem pracy, obiadem z mikrofali i kaskadami krwi przelewającymi się w filmach zwyrodnialców – a może i zniesmaczony, bodaj odrobinę, swoją rolą – zechce kiedyś stanąć na molo w szarpanym przez wiatr płaszczu, niepomny lęku przed gigantycznym procesem o ujawnienie korporacyjnych sukcesów?

Jeśli się na to odważy, ogromnie będę ciekaw „Księgi Zapisów i Zaleceń” GAFA. Niech no się tylko pojawi, a my będziemy publikować ją niez mordowanie na srebrnych bębnach serwerów, na czarnych bębnach powielaczy.

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

